ROZMAITOŚCI.

Dnia 26 kwietnia, Ner 17. roku 1845.

Oblężenie Rodu przez Turków.

Jednego z owych dni wiosennych — w których zwykle lato i zima zaciekły o pierwszeństwo spór wiodą i co chwila to miłém słońcem to śniegiem i dészczem na bojowisku się pojawiają — siedział wieczorem, roku 1522go, w izbie gospodnéj w francuzkiém miasteczku Beaucaire jakiś młody podróżnik przy kominku i uderzał w zadumaniu stalową pochwą oręża w żarzące się polana na ognisku.

Po niedługiéj ciszy ozwał się nagle tętent koni i chrzęst zbroi na dworze, a głośne dźwięki wojennéj trąby oznajmiły przybycie liczniejszego orszaku, co wszystko jednakże w myślach zatopionego młodzieńca bynajmniéj nie ocknęło.

W tymże samym czasie dał się słyszeć jakiś silny głos męzki, rozkazy wydający: „Każcie się prędko przewieźć przez rzekę i śpieszcie co można do Arles. Konie jeszcze nie utrudzone, a nie macie jak tylko dwie mile drogi. Powiédzcie przeorowi, iż dziś dla ważnych zatrudnień w Beaucaire zostanę, lecz jutro odwidzę go niezawodnie. Ty bracie Franciszku zobacz, czy broń przywieziono i przekonaj się czy w dobrym jest stanie. Nie zapomnij o niczém co tylko dla dobra zakonu posłużyć może. Czuwaj i módl się!”

Na tém wpół wojenném a wpół duchowném zleceniu zakończył mówiący rozkazy, i zaraz ozwał się znowu chrzęst i tętent odjeżdżającego hufcu, mieszając się w dali z pluskiem wiosennego dészczu i z szumem spienionego Rodanu. Teraz wprowadził gospodnik pozostałego rycerza do izby gościnnéj, i teraz dopiero głośne stąpanie wchodzących przebudziły siedzącego przy ognisku młodzieńca, który ocknąwszy się z zadumania, spojrzał ciekawie na przybyłego gościa, a potém schyliwszy głowę w znak uszanowania, ustąpił mu miejsca przy ogniu.

Nowoprzybyły wstrząsł dészczem przesiękłą odzież i spojrzawszy przelotnie po młodzieńcu, usiadł dla ogrzania się przy ogniu. Po jego ciemnéj sukni, ozdobionéj ośmiokątnym krzyżem kawalerów Rodyjskich, po jego wyniosłéj, śmiałéj postawie, po rycerskiéj misiurce, zpod któréj wiekiem pobielony włos spadał, wreszcie po jego żywym, rozkazującym wzroku, można było poznać jednego z najwaleczniejszych rycerzy tego zakonu, który w szesnastym wieku główną warownię chrześcijaństwa przeciw potędze Saracenów stanowił.

Przeciwnie skromny ubior młodzieńca zdawał się tylko podróżującego kupca znamionować; jednakże przypadkowa ozdoba innego rodzaju świadczyła o jego również wojennym stanie. Byłto czarny plaster na twarzy, okrywający widocznie świeżo odniesioną bliznę, która starszemu rycerzowi zakonu św. Jana dała powód do rozpoczęcia rozmowy.

„Widzę mój synu,” — ozwał się do młodzieńca — „żeś walczył w ostatniéj wojnie.”

„Tak jest, mości rycerzu;” odpowiedział zapytany, i znowu oddał się milczeniu.

„I gdzieżeś-to wojował, w Nawarze, we Flandryi czy w Burgundyi?” znowu zapytał stary rycerz. »Mam ważne powody mojéj ciekawości.”

„A ja mam moje, abym milczał;” — odrzekł młody wojownik — »służyłem w Nawarze.” To rzekłszy, zamilkł.

W sposobie jego zachowania się było coś dumnego i unikającego, co się nie podobało kawalerowi rodyjskiemu, który mniemał, że skoro tylko rycerz tak sławnego zakonu, do młodego wojownika przemówi, już mu przez to samo wielki zaszczyt sprawi. Zmarszczył przeto czoło, błysnął gniewliwém okiem, a po chwili mruknął sam do siebie nieco spokojniéj: „Bądźmy sprawiedliwi, jesteśmy tylko mnichami, ubogimi żołnierzami Chrystusa; powinnibyśmy większą okazywać pokorę. — W Nawarze,” ozwał się znowu, lecz już łagodniéj do młodzieńca — »mam młodego, twoich lat krewnego, jedynego syna mojego brata; służy tam pod dowództwem szlachetnego Andrzeja de Foix, który w sprawie Henryka d'Albret w Nawarze walczy; radbym się o nim dowiedzieć mój synu. Czyś tam się nie spotkał kiedy z księciem de Neville?”

„Znałem w istocie kogoś tego nazwiska,” — odrzekł młodzieniec — „i przypominam sobie, żeśmy razem przy zajęciu Pampelony walczyli, ale różnica

stopnia nie dozwalała nam zbliżyć się do siebie. Widziałem go jednakże później jako więźnia w Logrono.»

»Jako więźnia!» zawołał rycerz.

„Tak jest, jako więźnia;" potwierdził młody wojownik. „Jako? I wyżbyście nie mieli słyszeć o naszéj klęsce i o pojmaniu młodego hrabi de Foix z wszystkimi jego rycerzami? — Wszakżeto już dawno jak się to stało.»

»Ależbo ja, mój synu, objechałem tymczasem niemały kawał świata, myśląc jedynie o tém, jakby obowiązkom włożonym na mnie przez mój zakon i przez wielkiego mistrza zadość uczynić; starałem się z powodu zagrażającego napadu Turków, ile możności jaknajwięcéj broni i zapasów wojennych uzbierać. Powiedz mi przeto młodzieńcze: czy był mój synowiec jeszcze podówczas w więzieniu, gdyś go po raz ostatni widział? Jakimże sposobem ty sam uszedłeś z więzienia? Może mój synowiec okupu potrzebuje?»

Młody wojownik spojrzawszy na starca wzrokiem spółczucia, odpowiedział po krótkim namyśle: »Nie wiém z pewnością, czy książę de Neville zostaje jeszcze dotąd w więzieniu, tyle wiém tylko że posyłał do Tuluzy po okup, i zapewne już go otrzymał. Co do mnie, uszedłem przypadkiem, i zamyślam teraz pod nowym wielkim mistrzem rodyjskim przeciw Turkom wojować.»

Na te słowa stary rycerz zakonu św. Jana zadumał się nagle, jakgdyby go odpowiedź młodzieńca mocno była obeszła. »Nowy wielki mistrz zakonu rodyjskiego?» rzekł nareszcie. „A to rzecz dziwna, aby przeor zakonu dopiero z ust nieznajomego sobie młodzieńca wiadomość o wyborze nowego wielkiego mistrza otrzymał. Lecz się domyślam; de Merail nienawidził mię zawsze, że nie dozwoliłem przyjąć ręki córki jego, którą on mojemu synowcowi ofiarował; przeto mając niechęć do mnie, nie oznajmił mi umyślnie wyboru swego, abym się dopiero jako ostatni z rycerzy zakonu o tém dowiedział. Już więc mężny Fabricius de Carette nie żyje, a Merail wielkim mistrzem obrany? Niespodziane losu igrzysko!»

Podczas gdy kawaler rodyjski przechodząc się po izbie, tak z sobą rozmawiał, zatopił się młodzieniec na nowo w swoje dawne zadumanie i wlepił znowu wzrok nieruchomy w ognisko, co okazywało, iż nie słyszał słów czcigodnego rycerza, aż po chwili jakby przez roztargnienie ozwał się głosem obojętnym: „Tak jest, Carette nie żyje! Lecz pomimo najpewniejszą nadzieję, Merail nie został obranym. Wielkim mistrzem rodyjskim jest Villiers de l'Isle Adam.»

Stary Joannita usłyszawszy te słowa, krzyknął zadziwiony: „Co? Ja, ja wielkim mistrzem?! Niepodobna! Jakżeby to być mogło, aby nie obrano Meraila, który jest bogatym, wysokiego rodu, i, jak powiadają, mądrym i przedsiębiorczego ducha? I natomiast miałbym ja, nieobecny, i prawie zapomniany, godność wielkiego mistrza otrzymać? Lecz powiedz mi młodzieńcze kto jesteś, że lepiéj odemnie wiesz, co się w zakonie dzieje."

„Jestem synem ubogiego rycerza z Turynu," — odpowiedział młodzieniec — »i nazywam się Bertrand de la Croix; a jakim sposobem o tém się dowiedziałem, mogę wam zaraz powiedzieć. Dwa dni będzie temu, jak z Hiszpanii wracając wylądowałem w Marsylii. Tam zszedłem się z orszakiem rycerzy i braciszków zakonu ś. Jana, którzy z Paryża przybyli, gdzie was na próżno szukali, jeżlito wy istotnie tym nowowybranym wielkim mistrzem jesteście. Przybyłem tu dla ułatwienia różnych sprawunków w Tuluzie, zkąd powróciwszy, zamierzam natychmiast poświęcić mój oręż sprawie zakonu rodyjskiego, któremu teraz cała potęga Turków zagraża. Chciéj więc przyjąć moje usługi dostojny wielki mistrzu — przyjąć ten oręż w obronę dobréj sprawy.»

Wielki mistrz wodząc wokoło wzrokiem, stał przez długą chwilę w milczeniu, gdyż gwałtowne uczucia miotały jego duszą, poczém położył rękę na ramieniu młodzieńca i rzekł z serdecznością: „Zakon rodyjski przyjmuje chętnie usługę twego oręża, bo jeźli mnie wiadomości z Węgier o wojennych przygotowaniach Turków nie mylą, będziem potrzebni pomocy wszystkich naszych przyjaciół. Jeżli zaś to, coś mi mój synu o wyborze nowego wielkiego mistrza doniósł, rzeczywistą jest prawdą — jak o tém nie wątpię — natenczas muszę natychmiast udać się do Marsylii, gdzie posłowie zakonu na mnie czekają. Tak więc nie będę mógł wykonać ułożonego planu odwidzenia w Nawarze mego synowca, którego już od piętnastu lat nie widziałem. Radbym jednakże znaleźć kogo, coby chciał się podjąć oddania mu mego listu i dowiedzenia się z pewnością, czy jeszcze jest więźniem lub czy już odzyskał wolność.»

To mówiąc spojrzał wielki mistrz czule na swego nowego wojownika, młodzieniec zrozumiał prośbę dostojnego przełożonego i przyjął chętnie zlecenie do jego synowca.

*

We dwa dni po tém spotkaniu się w Beaucaire, znajdował się Bertrand w Hiszpanii, wprawdzie nie w Nawarze ani Kastylii, lecz w roskosznéj Katalonii, na tém pięknem wybrzeżu, które na śródziemne morze spogląda.

Francyja i Hiszpanija były naówczas w wojnie ze sobą, a liczne nieprzyjacielskie wojska stały na granicach obudwóch krajów. Lecz młody wojownik szedł śmiało po nieprzyjacielskiéj ziemi, i żadna

trwożna myśl go nie zajmowała. Owa ponura zaduma, którąśmy przed kilką dniami na jego czole i licu spostrzegali, ustąpiła jakby czarodziejską siłą zaklęta, gdyż schodząc krętą, kwiecistą ścieżką z zamku na łąkę słonecznym blaskiem opromienioną, prowadził pod rękę młodą, piękną istotę, tulącą się do niego z ową serdeczną poufnością, jakiéj tylko głęboka, wzajemna miłość udzielić może. Za niemi, zbyt oddalona aby usłyszéć mogła co kochankowie mówią, igrając z jednym z owych jedwabnowłosych piesków, których wierność przysłowiem się stała, szła poważna matrona, stara duena dziewicy. Nieco poniżéj w dolinie trzymało dwoch paziów ognistego rumaka, który w tę okolicę przyniósł Bertranda, a teraz strzyżąc uszyma i grzebiąc kopytem ziemię, zdawał się niecierpliwie czekać powrotu swego pana, aby go ztąd lotem ptaka na powrót uwiózł. Lecz Bertrand de la Croix nie miał bynajmniéj ochoty tak prędko opuszczać kochaną towarzyszkę, i owszem widać to było na jego twarzy, jak szczęśliwą myślą był teraz zajęty. A również i w owych czarnych oczach, które na niego spoziérały, nie było śladu smutku, chociaż niekiedy przelotny cień zadumy ich jasność ćmić się zdawał.

Po niejakim czasie zaprowadziła ich ścieżka na wierzchołek dość wzniosłego wzgorza, zkąd się kochankom daleki widok na morze otwierał. Tu stanęli oboje, a Bertrand wyciągnąwszy rękę ku stronie morza, zawołał:

»Tam za morze, za morze, Izabello! Jeźli kochasz Bertranda, śpiesznie, śpiesznie za morze! Śpiesznie jak na skrzydłach posła Junony! Przecież się tych modrych fal lękać nie będziesz? Patrz, jak one tam w promieniach słońca miło pląsają, jakgdyby twoją maleńką nóżkę do łodzi zwabić chciały, aby cię ztąd unieść na ową wonną wyspę na wschodzie! O nie, nie! Tak luba jak ty istota, nie powinna się lękać żadnéj przygody; tobie nawet okrutne, zdradliwe morze w szkodęby iść nie śmiało, a tém mniéj ta gładka, spokojna, zwierciadlana jego płaszczyzna. Nie, ja to, ja będę się musiał lękać i na każdy powiew wiatru uważać, aby zbyt natarczywie łodzią mojéj Izabelli nie zakołysał, i słodkiego snu jéj nie przerwał.»

Dziewica potrząsła nato główką i rzekła: „Tyżto Bertrandzie mówisz o bojaźni? Ty nie wiesz nawet co bojaźń znaczy. Ja znam ją, bo ją czuję! Ale gdyby nawet to morze, które teraz tak łagodnie się uśmiécha, najszaleńsza zawicbrzyła burza, nie lękałabym się wsiąść do okrętu, byle ciebie tylko tém uszczęśliwić. Ztémwszystkiém, chociaż to tak jest miło miéć nadzieję, nie łudźmy się zbyt pochlebnemi widokami. Słysząc, że mój ojciec wezwał mię do siebie na wyspę Rodus, mniemasz iż już całe szczęście nasze spełnione? a zapominasz co wyrzekł: iż prędzéj woda z ogniem się złączy, niż my za jego zezwoleniem!»

„Sąto słowa w zapędzie gniewu wyrzeczone, które tak prędko gasną, jak się pojawiają. Nie lękaj się mój aniele. Wiém ja niemało sposobów ujęcia sobie jego życzliwości, a mój oręż stanie się takim postrachem poganów, iżby się twój ojciec wstydzić musiał, gdyby mi odmawiać chciał twojéj ręki. Zresztą, na wyspie Rodus, będę się codziennie mógł widziéć z tobą, a twoje lube oko powiedzie mię jak szczęśliwa gwiazda do zwycięztwa i sławy.»

Śród takich miłośnych powierzeń przechadzając się ramię w ramię, cieszyli się pięknémi widokami uszczęśliwiającéj nadziei; a chociaż Izabella sama sobie wyznać nie umiała, czego się w tym zamęcie serca spodziéwać mogła, i o ile obawa morskiéj podróży jéj radośne mąciła oczekiwanie, przecież namiętne słowa kochanka nie omieszkały wywrzéć na nią zamierzonego skutku; a gdy już smutna chwila rozstania nadeszła, ozwała się i ona także słowami pociechy, i wyznała, iż jest daleko szczęśliwszą teraz, niż była wówczas, gdy się po raz piérwszy rozstawali, a on sam tylko z daremną prośbą o jéj rękę, do jéj hardego ojca odjéżdżał.

Bertrand obejrzawszy się poza siebie, czy ich kto nie widzi, złożył ostatni pożegnawczy pocałunek na ustach ukochanéj dziewicy, któréj słowa tak błogiém szczęściem go uradowały.

Po tém czułém pożegnaniu odszedł za skałę, która ich przed usłużną dueną zasłaniała, i wetknąwszy jéj dość ciężką sakiewkę w rękę, prosił ją, aby podczas morskiéj podróży troskliwe staranie około swéj pani miała; poczém zbiegł na dolinę, gdzie mu pazie konia trzymali.

„Czy oddałeś ów worek z pieniędzmi na okup więźnia przeznaczony?» zapytał starszego pazia. Młodzieniec spokojnie odpowiedziawszy, iż wypełnił jego rozkazy, doręczył mu pismo, które w owych czasach miejsce paszportu zastępowało. »A teraz» — rzekł Bertrand wsiadając na konia — »śpiesz się do towarzyszy i powiedz im, niech jadą coprędzéj do Marsylii, aby tam razem ze mną stanęli. Rozumiész! — A ty, przytrzymaj mi strzemię. — Ale stój, poczekaj jeszcze, byłbym zupełnie o moim liście zapomniał.» To mówiąc dobył pismo wielkiego mistrza, spojrzał na nie z uśmiéchem i rzekł po chwili do siebie: „List ten obchodzi zarówno Bertranda de la Croix, jak i księcia de Neville; nie widzę tedy przyczyny, dla czegobym go nie miał odczytać.»

To mówiąc przeciął jedwabną, między pieczęciami wdziérgniętą nitkę, przeczytał list i zastanowiwszy się przez chwilę, podarł go w drobne kawałki i na wiatr rzucił. Co uczyniwszy, dosiadł konia, i poglądając tak swobodnie, jakgdyby w niczém poło-

żonego weń zaufania nie naruszył, pognał ku granicy francuzkiéj.

Przybywszy do Marsylii, zastał wielkiego mistrza zaprzątnionego przygotowaniami do zbrojnego odpłynienia na wyspę Rodus. Wszędzie otaczały go orszaki rycerzy, tłumy żołnierzy i braciszków, a w pałacu biskupim, gdzie pierwszego z chrześcijańskich rycerzy gościnnie podjęto, panowała nadzwyczaj żywa skrzętność.

Gdy się wreszcie Bertrand do wielkiego mistrza przez tłumy wojowników przepchać zdołał, oznajmił mu, że nie mogłszy zdążyć aż do Logrono, oddał list i pieniędze na okup księcia de Neville pewnemu posłańcowi, który je niezawodnie na miejsce przeznaczenia odstawi. Niezadowoloną niespokojność wielkiego mistrza o los swego synowca, uśmierzył poniekąd tą wiadomością, iż przyprowadził z sobą pięćdziesięciu doświadczonych żołnierzy, którzy mieli zamiar wstąpić w służbę zakonu na cały czas oblężenia przez Turków.

Villiers de l'Isle Adam spojrzał zdziwiony na młodzieńca i rzekł: »Jeźli pięćdziesięciu doświadczonych wojowników chcą pod tak młodym służyć naczelnikiem, więc śmiało mogę polegać na ich zaufaniu i wyznać mój szacunek dla ich dowódzcy; lecz wprzód musimy widzieć ten hufiec, sir Bertrand de la Croix.»

Młody wojownik nie odrzekł nic mistrzowi, ale po pięciu dniach przybyli zapowiedzeni żołnierze, i stanęli przed wielkim mistrzem do przeglądu, przy którym ich ciemne, śród znojów ogorzałe twarze, zręczność w robieniu bronią, jako pożądanych spólników przyszłych trudów i niebezpieczeństw pochlebnie zaleciły. To powiększyło jeszcze bardziej szacunek wielkiego mistrza dla młodego ich wodza, ale chociaż jego ciekawość o wywiedzenie się bliższych o nim szczegółów, niemało go zajmowała, nie zniżył się przecież tak dalece, aby którego z żołnierzy o niego zapytał.

Po kilkudniowém śpiesznem przygotowaniu, rycerze z żołnierzami odbili od lądu. Bertrand stosownie do życzeń wielkiego mistrza towarzyszył mu przez całą podróż od marsylskiego portu aż do stolicy zakonu.

*

Wkrótce po wylądowaniu naczelnika zakonu na wyspie Rodus, rozpoczęły się wojenne przygotowania do jaknajsilniejszego odparcia spodziewanego napadu Turków. Wzięto się do obwarowania stołecznego miasta i pobliskich okolic. Wszędzie sypano wały, kopano rowy, burzono niepotrzebne budynki, pustoszono nawet umyślnie pola, winnice, oliwne i figowe gaje, aby tylko nieprzyjacielowi żadnych środków utrzymania nie pozostawić. Prócz téj ostrożności zaprowadził nowy wielki mistrz system najsurowszéj karności. Każdy dowódzca, każdy szeregowiec miał pewne wyznaczone sobie stanowisko, i nigdzie może w całym chrześcijańskim świecie nie da się drugi przykład podobnego systemu obrony znaleźć, jaki tu pod rządami Villiersa de l'Isle Adam zaprowadzonym został.

W tych wszystkich postanowieniach miewał Bertrand de la Croix najczynniejszy udział. Wielki mistrz cenił nadzwyczajnie jego niezachwianą przytomność umysłu i zapamiętałą odwagę, o któréj już od czasu ich wspólnéj morskiéj podróży z Marsylii na wyspę Rodus, często mógł się przekonać, a jego surowy, milczący sposób zachowania się, wywierał jakiś tajemny urok na wszystkich, do których się tylko zbliżał.

Do pięćdziesięciu weteranów, którzy najprzód pod dowództwem Bertranda zakonowi usługi swoje ofiarowali, dodał wielki mistrz jeszcze sto ochotników, a tak pomnożony hufiec, otrzymał pod przewodnictwem młodego naczelnika rozkaz bronienia jednéj części baszty, Auvergne zwanéj; każda bowiem część twierdzy była jednemu z owych narodów czyli języków w straż poruczaną, z których cały zakon się składał.

Młody Bertrand zasłynął wkrótce pomiędzy kawalerami zakonu, ale dla wszystkich okazywał jednostajną, unikającą obojętność. Lekkie, nawet trochę harde skinienie głową, mimochodem rzucone słowo, z którego ani grzeczności ani niegrzeczności powziąć nie było można — oto i wszystko, co go z innymi rycerzami łączyło. Dla jednego tylko Andrzeja de Merail, kanclerza zakonu zdawał się być otwartszym i przychylniejszym. Inaczéj też obchodził się z nim, jak z resztą zakonników, a jakichkolwiek sposobów użył dla ujęcia sobie tego dumnego Kastylijana, nie można było powiedzieć, jak tylko, że mu się to jaknajpomyślniéj powiodło. Niedługi czas upłynął, a de Merail stał się nierozłącznym towarzyszem Bertranda; z nim razem przechadzał się po szańcach; z nim przejeżdżał się konno po wysokich wzgórzach, otaczających nadmorskie brzegi wyspy; z nimto zwykł był rozmawiać o dalekich krajach i ludach, przyczém zawsze jakiś tajemny niepokój obudwóch trapić się zdawał.

Tymczasem wszelka baczność wielkiego mistrza była jedynie na obwarowanie stołecznego miasta zwrócona. Potrójny szereg mocno obronnych wałów, które je otaczały, nowe zamki St. Angelo, St. Elmo, baszta św. Mikołaja, tudzież wszystkie dawniejsze wieże, były liczną poosadzane załogą. Oprócz tego utworzono osobny oddział odwodowy, składający się z najwaleczniejszych rycerzy zakonu, pomiędzy którymi był także de Merail. Nakoniec pojawiły się mnogie ogniska na lycyjskich pogórzach, świadczące o zbliżaniu się zastępów nieprzyjacielskich, a po kilku dniach niespokojnego oczeki-

wania, postrzeżono nareszcie całe morze okryte niezliczoném mnóstwem okrętów, które Turków na wybrzeża wyspy Rodus przyniosły.

Czterysta statków rozmaitéj wielkości zarzuciło w obliczu wyspy kotwicę, a dni następnych wylądowało około 2000 żołnierza tureckiego. Same tylko strzały artyleryi pomniejszych warowni, którym obrona wybrzeży powierzoną była, oznajmiły mieszkańcom miasta obecność nieprzyjaciela na wyspie, gdyż stojąca w zatoce flota nie mogła z powodu wysokości zasłaniających ją wzgórzów być dostrzeżoną. Wysyłane na zwiady oddziały wojska przynosiły od czasu do czasu wiadomości, a niezadługo ujrzano chrześcijańskie forpoczty cofające się zwolna ku miastu, podczas gdy po okolicznych wzgórzach jazda turecka coraz liczniéj snuć się zaczeła. Wkrótce wzniosła się ciemna chmura pyłu ponad pobliskiémi wzgórzami, a niesione wiatrem dźwięki dzikiéj muzyki jańczarskiéj, obiły się o twierdzę. Teraz wysypały się roje nieprzyjacielskiéj jazdy, wystąpiły długie szeregi piechoty, a nieprzejrzany gęsty las włóczni wzniósł się ku niebu.

Jeszcze tylko trzechmilowa przestrzeń rozdzielała potęgę oblegających od oblężonego miasta, a chociaż ogień z ręcznéj broni już się słyszéć dawał, minął przecież dzień piérwszy bez znaczniejszych przedsięwzięć tak z jednéj jak i z drugiéj strony.

Nazajutrz skoro świt, otworzono zwykłe przy oblężeniach przykopne rowy i posuwano je z każdą prawie godziną coraz bliżéj ku miastu. Wkrótce usypano bateryję, a ręczna broń rozpoczęła strzélać do wałów; lecz morderczy ogień działowy, utrzymowany przez artyleryję oblężonego miasta, zmusił niebawem nieprzyjacielską bateryję do zamilczenia i oczyścił z nieprzyjacioł dolinę. Przy każdym napadzie, przy każdéj śmiałéj wycieczce, był Bertrand zawsze piérwszy, dając wszystkim przykład najzapamiętalszéj odwagi. Każdą noc spędzał na wałach twierdzy, a w dzień szedł na czele swojego hufcu ku nieprzyjacielskiemu obozowi i wracał pogańską krwią zbroczony. Przezco wszystkich uwagę zwrócił na siebie, gdyż, gdzie tylko Bertranda de la Croix widziano, tam szło pewnie o honor i o sławę, tam najzaciętszy bój się srożył. Zdumieni mosleminowie pierzchali przed jego ramieniem, jak przed zgubnym wichrem piasczystéj puszczy. Dnie i tygodnie mijały, a chociaż siły zastępów pogańskich czterdzieście razy przechodziły siły chrześcijańskie, nie mogły przecież nic zdziałać przeciw warowniom rodyjskim, a każdego wieczora szérzyła się nowa wieść o jakiméś bohatérskim czynie młodzieńca.

Lecz o ile jemu wszyscy chętnie cześć i pochwały oddawali, o tyle niechętnie i oziębłe spozierał każdy na zwykłego towarzysza jego, na sir Andrzeja de Merail. Nikt nie wątpił o waleczności kanclerza zakonu św. Jana, któréj w ciągu swojéj ośmnastoletniéj zakonnéj służby niemało dał dowodów, a przecież byli wszyscy tego zdania, iż w obecnym czasie spodziewać się czegoś po jego ramieniu i jego radzie było rzeczą daremną.

Ztémwszystkiém nie zaniedbano korzystać z każdego, jakkolwiek lekceważonego talentu i wzywano go na ratunek zakonu. Wielki mistrz starał się i Andrzeja de Merail do jego dawniejszéj siły i waleczności pobudzić. Przy pewnéj sposobności ponowił mu także swoję dawną prośbę o rękę jego córki dla młodego księcia de Neville, ale kanclerz unikał widocznie stanowczéj odpowiedzi, co bardzo wielkiego mistrza zmartwiło.

Tymczasem Turcy coraz zawzięciéj zabiérali się do zburzenia miasta. Wieża św. Jana, z któréj chrześcijanie dotychczas wszelkie poruszenia niewiernych uważali i częstokroć je niweczyli, została działowémi kulami rozbitą, i zdawało się, jakby nieprzyjaciele jakąś tajemną drogą wiadomość o wszystkich mniéj strzeżonych miejscach fortecy i najskrytszych zamysłach jéj obrońców otrzymowali. Turcy ściągali coraz większą masę wojska dla zasłonienia swoich przykopów, przezco wielki mistrz ujrzał się nakoniec spowodowanym, zakazać wycieczek zakonnemu rycerstwu. Tylko jeszcze ochotnikom pozwalano doświadczać swego męstwa w ten sposób, i mało który dzień minął, aby Bertrand nie był niespodzianie napadł na nieprzyjaciela, i nowych nie uzbiérał wawrzynów. Ale ani pochwały ani wszelakie względy, któremi go zaszczycano, nie przemawiały do jego umysłu; podobnie jak deszcz na piasczystéj puszczy, niknęły wszystkie bez śladu.

Jednego dnia, powracając z włoskiéj baszty, ku któréj ogień wszystkich nieprzyjacielskich dział był zwrócony, szedł Bertrand zadumany w inną, niezagrożoną jeszcze stronę fortecy, i ujrzał przelatującą w powietrzu strzałę, która wypuszczona z ustronnego miejsca fortecy, wpadła pomiędzy szyki nieprzyjacielskie i tam skwapliwie pochwyconą została. Młody wojownik pośpieszył żywo w to miejsce zkąd wyleciała, bo chociaż jak łyskawica przed jego okiem przemknęła, mógł przecież dostrzedz, że coś białego niosła. Przybywszy na miejsce, jakże się zdziwił, iż tam zastał kanclerza de Merail wraz z niewolnikiem jego, który łuk w ręku trzymał.

Tak wysokiéj dostojności męża nie mógł posądzić o zdradę; ztémwszystkiém ta rzecz miała dla Bertranda coś nader dziwnego w sobie. Chociaż zdziwienie jego nadzwyczajném było, przecież nie wypadało mu pytać oto kanclerza, a jakieś tajemne, niepojęte przeczucie, nie dozwalało mu udzielić nikomu tego zdarzenia.

De Merail widząc go przechodzącego, powziął jeszcze większe ku niemu przywiązanie, i za-

czął okazywać odtąd niejakie staranie około obrony twierdzy.

Jakoż trzeba było w istocie użyć ostatecznych środków, gdyż nieprzyjaciel opanował już część włoskiéj warowni. Również zagroził hiszpańskim i angielskim okopom. Codziennie przybywały mu z azyjatyckiego lądu świeże wojska, a częste napady i wycieczki uszczuplały do reszty niewielką siłę zakonu. Nareszcie okazywał się wyłom po wyłomie w murach fortecy, a pomimo wszelkich usiłowań wielkiego mistrza i jego towarzyszy, nie można było dla nieustającego ognia tureckiéj artyleryi, naprawić tych niebezpiecznych uszkodzeń. Dnia dwudziestego ósmego i dziewiątego września wzmógł się ogień działowy do tego stopnia, że nikt nie wątpił, iż teraz muzułmanie ostateczny szturm przypuszczą.

Ale właśnie przeciwnie się stało, wojska tureckie cofnęły się do obozu; chrześcijanie jednakże stali przez cały dzień pod bronią, nareszcie zaczęto mniemać, iż Turcy plan zmienili. Z tego powodu udali się najznakomitsi rycerze do wielkiego mistrza z prośbą, aby wszystkim żołnierzom, którzy nie koniecznie na murach twierdzy potrzebni byli, pozwolił ustąpić z wałów dla wypoczynku, a gdy wielki mistrz w tym względzie niejaką wątpliwość okazywał, de Merail ozwał się szyderczo: iż wódz naczelny chce swoje wojska na stal przerobić, bo rozpaliwszy je w skwarze wrześniowego słońca, zamierza je teraz na chłodzie wrześniowéj nocy ostudzić.

Jednakże i tym docinkiem nie dał się wielki mistrz odwieść od niedowierzania, i aż dopiéro wtedy, gdy się przekonał dokładnie o zupełnym spokoju w obozie nieprzyjacielskim, pozwolił części zmordowanego wojska ustąpić z wałów i użyć kilkugodzinnego spoczynku. On zaś sam ani pomyślał o wypoczęciu, lecz udawszy się śpieszno do cytadeli, zwołał tam sześciu najznakomitszych rycerzy i złożył z nimi tajną radę wojenną.

Co zaś do Bertranda de la Croix, ten owinął się w swój płaszcz rycerski i przylągł w pobliżu baszty Auvergne, gdzie go ogromna masa nagromadzonych kamieni lekkim cieniem, odbitym od blasku księżyca, przykryła. Tam zmrużywszy oczy, zdawał się na pozór zasypiać, lecz niespokojne myśli jego błąkały się aż poza morze i niejeden uroczy obraz stojąc mu na widni, nie dozwolił mu snu błogiego.

(Dokończenie nastąpi.)

Historyja Napoleona w dramacie.

Teatr Cyrku Olimpijskiego pomnożył liczbę swoich przedstawień uniwersalnéj historyi w miniaturze nowym dramatem pod nazwą: „Cesarstwo"; jestto widowisko w trzech aktach a w ośmnastu obrazach. Ponieważ do lepszych tego rodzaju należy i z szczególnym przepychem jest przedstawiane, przeto nie będzie od rzeczy, treść jego tu przytoczyć. W piérwszym akcie widać posiedzenie trybunału: Chenier, Carnot, Benjamin Constant przyjmują wniosek Curée'a, aby piérwszego konsula Bonapartego cesarzem ogłosić. Poczém nowy cesarz ukazuje się w pałacu Tuileryjów, jest właśnie przy śniadaniu i przyjmuje znakomitych mężów owego czasu: artystę Talmę, chirurga Dubois, malarza Davida, fabrykanta Ryszarda Lenoir i innych. Następuje scena rozdania orłów na polu marsowém; grupa główna — w któréj Napoleon, przyodziany strojem cesarskim, otoczony marszałkami, rozdaje orły chorążym wszystkich pułków — ustawiona jest podług obrazu, znajdującego się w muzeum wersalskiem i wielkie sprawia wrażenie; kostiumy są historyczne. Po wyprawie (odbytéj za kulisami) wjeżdża Napoleon do Wiédnia i tam przed budynkiem c. k. rady wojennéj, odbywa przegląd staréj gwardyi. Bitwa pod Austerlic kończy akt piérwszy. W drugim akcie widzimy koniec bitwy pod Aspern; marszałek Lannes leży konający w chacie; Larrey oświadcza, iż niéma żadnéj nadziei ocalenia go; Napoleon wchodzi i żegna się z wiernym przyjacielem. Następnie widać pobojowisko pod Essling; Napoleon odwidza rannych, wszędzie udziela pociechy i rozdaje nagrody. Wkrótce potém zastajemy cesarza w Paryżu, oczekującego połogu Maryi Ludwiki; marszałkowie, jenerałowie, dygnitarze, napełniają wielką salę w pałacu Tuileryjów. Biegły akuszer Dubois donosi cesarzowi, iż grozi niebezpieczeństwo, i że obawa odpowiedzialności, jaką na niego włożono, czyni go niezdolnym do operacyi. »Ratuj cesarzowę!« woła Napoleon — »choćby dziécię zginęło. Chwila niespokojnego oczekiwania; nakoniec zagrzmiał piérwszy wystrzał działowy z hotelu inwalidów; wszyscy liczą.... 21 wystrzałów.... zatem: córka.... wtém słychać 22gi wystrzał a wszyscy wykrzykują w uniesieniu radości: Syn! — i oto śród gromu 101krotnéj salwy działowéj, śród dźwięku dzwonów i głośnych okrzyków zgromadzonego pod oknami narodu, wybiega Napoleon z pokojów cesarzowéj, oznajmując z tryjumfem narodzenie się syna. Następują chrzciny króla rzymskiego w kościele najśw. panny. Dalszy obraz przedstawia odwidziny cesarza u pensyjonarek orderu legii honorowéj; bitwa pod Drezném i utarczka mostowa kończą akt drugi. Akt trzeci zaczyna się wyprawą we Francyi roku 1814go. Cesarz zwidza chatę wieśniaczą, gdzie Coulaincourt składa mu sprawozdanie o czynnościach kongresu w Chatillon. Niedługo potém zbiéra cesarz we wsi rozpruszone szczątki armii paryzkiéj; nowy zapał ożywia wszystkich; chcą udać się do Fontaineblau, aby ztamtąd na odsiecz

stolicy pospieszyć; lecz przeznaczenie dążyło już do kresu — Napoleon pomimo próśb żołnierzy — zrzeka się tronu.. Widzimy go potém na wyspie św. Heleny, przechadzającego się w zamyśleniu; szyldwach angielski zastępuje mu drogę i nastawionym bagnetem wskazuje, aby się wrócił. Ta zupełnie niema scena sprawia przy teraźniejszych okolicznościach niewymowne wrażenie. Następuje zwykła apoteoza: cesarz w niebie, otoczony starymi jenerałami, przyjmuje jenerała z teraźniejszéj armii afrykańskiéj i powiada mu, że młoda armija godna jest staréj; nagle słychać huk armat... »*Une nouvelle victoire se prépare*« woła cesarz — »*Allons applaudir les vainqueurs!*« (Nowe zwycięztwo się zbliża — pójdźmy witać zwycięzców.) Tu scena się przemienia i widać bitwę nad Isly. — Z tego pobieżnego przeglądu można się przekonać, jaka tu panuje obfitość imponujących scen, dramatycznych sytuacyj i wspomnień z czasów cesarstwa. Dodajmyż do tego, że główny aktor Chéri wybornie cesarza udaje, że ludzie i konie zarówno dobrze grają, że urządzenie sceny niczego do życzenia nie pozostawia, a nie zdziwimy się wcale, jeźli ta nowa sztuka, podobnie jak i jéj poprzedniczki: »*Eugène*« — »*Murat*« — »Sto dni« i t. d., jakich sto przedstawień się doczeka.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 16ty i zawiera: 1) O płodozmiennem gospodarstwie, zaprowadzoném na gruntach do plebanii czerwonogrodzkiéj należących. 2) O kredycie i jego skutkach na gospodarstwo krajowe. Przez Michała Chevalier. 3) Nowy sposób leczenia bydła na wzdęcie. 4) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 9y i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Pan Wincenty. Czy nie tak się dzieje? 2) Przeczucie śmierci, wiersz przez Kornela Ujejskiego. 3) Pawłokokeizm w Anglii. Dokończenie.

Wiosna we Francyi. Z listu z Paryża. Wszyscy oczekują z niecierpliwością sławnéj przejazdki do Longchamps, gdzie najwyższa arystokracyja *du faubourg Saint-Germain* obok licznéj drużyny bogatych Dorobkiewiczów pierwszą wiosenną wycieczkę przedsiębierze i świetne swe ekwipaże na widok publiczny wystawia. Lecz jakażto będzie, ta wiosenna przejazdka dla Paryżanów, którzy już w lutym na bulwarach lub w ogrodzie Palais-Royal na słońcu grzać się przywykli, jeźli ta sama niepogoda, która teraz (w marcu) panuje, do kwietnia się przeciągnie. Cudzoziemcy, którzy zwykle rojami o téj porze do Paryża zjeżdżają, wyłażą teraz tylko kiedyśniekiedyś, i to na wpół zmarznięci, w futrach pozawijani, z szybkowozów i wagonów kolei żelaznéj. Najbardziéj tragikomiczny widok przedstawiają podróżni przybywający z południowych okolic Francyi. I tak niedawno idąc w towarzystwie kilku przyjaciół bulwarem *des Italiens*, zdybałem jakiegoś świéżo z prowincyi przybyłego mężczyznę, w futrze, z zapłakanemi z zimna oczyma, z posiniałym od mrozu nosem. Jeden z moich towarzyszy poznał w nim sławnego poetę Méry, który mimo gorącą imaginacyję, bardzo zimna się boi. — »Zkądże pan przybywasz, i cóż teraz robisz w Paryżu?« zapytał mój przyjaciel Prowensalczyka po pierwszych przywitaniach. — »Przybywam z Marsylii,« — odrzekł Méry — »i szukam tu słonecznego promienia na bulwarach. Jestem już 48 godzin w Paryżu, i nie mogę jeszcze całkiem odtajeć. Czasem zbiéra mię ochota dać się jak rak zgotować. Ale wstąpmy na chwilę do kawiarni Doux, a tam opowiém panom wszystko, co mi się w drodze zdarzyło.« To mówiąc drżał nasz biédny poeta jak liść osiki. Kto tylko spojrzał na niego, uczuł także dreszcz w sobie. Weszliśmy do kawiarni. Méry siadł co żywo przy kominku i zaczął opowiadać: »Między Marsyliją a Paryżem leży teraz Syberyja, kraj wcale nowy, o którym geografom dotąd ani się śniło. Rwiący Rodan unosi do morza nietylko grube kry lodu ale i całe chatki pasterskie, które w Szwajcaryi zabrał. W Awinionie nie ujrzysz żywéj duszy na mieście, gdyż wszyscy nogi sobie poodmrażali. Konie nasze musiały się nieustannie przez bałwany śniegu przebijać i omało nie pokostniały, a tu brał mróz coraz większy! W Lugdunie pokazywały termometry bajeczną mnogość stopni poniżéj zera, a w Auxerre przechadzali się wilcy jak psy po rynku; słychać nawet że prefektura już trzech adwokatów, dwóch notaryjuszów, jednego sędziego i kilku zacnych obywateli straciła, którzy wszyscy w kwiecie wieku pastwą tych żarłocznych bestyj się stali. Śród takich niebezpieczeństw przybył nasz szybkowóz do Paryża, gdzie wysiadając z wielkim żalem postrzegliśmy, iż między nami dwóch nosów i pięcioro usz nie stało.« — To rzekłszy wyjął prowensalski poeta już prawie upieczone nogi z kominka i odszedł.

Nowości dla lubowników ogrodnictwa. Nepaul jest teraz ową krainą Azyi, do któréj największa część podróżnych botaników pielgrzymuje, a to z tego powodu, ponieważ piękne ogrodowe kwiaty tego kraju łatwo w Europie chować się dają. Jakoż niedawno temu przywieziono z Nepaul do Anglii dwa cudownéj piękności krzewy, które niebawem z Anglii po całéj Europie się rozejdą. Oba te krzewy należą do gatunku *Luculia*. Kwiat ich ma nadzwyczaj przyjemny zapach, kształt piękny, i jest w czasie rozwinięcia się pączków zupełnie białym, poczém wszelkie odcienia różowéj barwy przechodzi, a w końcu przed uwiędnieniem jasnoczerwony kolor przybiera. Ale nierównie piękniejsza jeszcze roślina, istny cud botaniczny, przybył przed niedawnym czasem z Mexyku, i sprawia nadzwyczajne podziwienie pomiędzy botanikami. P. Staines, botanik, który w celu zbierania roślin dla ogrodu botanicznego w Kew, w Anglii, podróżuje, szukał najstaranniéj gatunków kaktusu, jakich w Mexyku jest podostatkiem. Po niesłychanych trudach i mnogich niebezpieczeństwach dostał się wreszcie w górzystą okolicę, gdzie ku swojemu zdumieniu ujrzał mnóstwo nieznanych mu dotąd gatunków kaktusowych, przechodzących wielkością wszelkie wyobrażenie. Pomiędzy ogromnemi skałami rosły melokakty i echinokakty téjże saméj wielkości co i otaczające je skały. Echinokakty, czyli kaktusy kolczaste, znane w Europie, są u nas krągłemi bryłami, wielkości melona; tam jednak znalazł p. Staines niektóre kaktusy tegoż gatunku, mające 3 sążni wysokości a 7—8 objętości... Jeden z takich olbrzymich kaktusów miał być cały do Anglii przewiezionym; lecz byłato rzecz nie łatwa. Aby jakiekolwiek dać o tém wyobrażenie, należy nam tylko nadmienić, iż dwudziestu ludzi zaledwie jednę taką roślinę poruszyć mogło, a gdy ją z korzeniem wyrwano i w umyślnie nato zbudowanéj ogromnéj skrzyni ustawiono, trzeba ją było trzysta mil przez niedostępne puszcze do Verakruz przewozić, zkąd dopiéro do Anglii odesłaną być

mogła. Wywieziono przecież kilka takich roślin. Pod każdą skrzynię, mającą jeden kaktus, potrzeba było sześć par wołów zaprządz. Mimo najusilniejsze starania zginęły jednakże dwa takie kaktusy w drodze, a tylko jeden przybył szczęśliwie do Anglii, gdzie go teraz w Kew przechowują. Jestto prawdziwy potwór roślinny, ważący 700 funtów, mający półczwarta łokcia wysokości a dziewięć łokci objętości. Mexykanie nazywają te olbrzymie kaktusy Viznaga. Wszyscy botanicy i miłośnicy kwiatów w Angli, czekają niecierpliwie ujrzenia kwiatu téj olbrzymiéj rośliny.

Największy wylew od czasu potopu. Dziennik holenderski »*Handelsblad*« zawiéra opis okropnego wylewu w północnych Chinach, przy którym wszystkie wylewy, jakich Europa w ostatnich latach doznała, i na jakie teraz się uskarzamy, prawie niczém się zdają. Około żółtego morza przybrał był ów wylew charakter istotnego potopu. Całe prowincyje, z ludnością przechodzącą ludność europejskich królestw, zostały zatopione, a gdy wody opadły, okazały się tysiące trupów. Po wszystkich stronach widać było pływające wanny i beczki, w których ciała utopionych dzieci leżały. Matki, które wszelką nadzieję własnego ocalenia straciły, pokładły były swe dzieci w te pływające czółna, mniemając że może tym sposobem uratowanémi zostaną. Przeszło siedmnaście millijonów ludzi przez ten wylew wszelkiego sposobu do życia pozbawionych, musiało się rozejść i żebrzą teraz po kraju.

Nowy klasztor Trapistów w Staoueli w Algeryi, jest bliski ukończenia i będzie do najpiękniejszych posiadłości tegoż zakonu należał. Zabudowania gospodarcze są juz prawie ukończone, fabryki mularskie postępują z każdym dniem, a do wielu nowych zakładów poczyniono już wszelkie przygotowania. Ale to pomyślne powodzenie kosztuje wiele ofiar bolesnych. Z 38 Trapistów umarło zeszłego roku 8miu, a wszyscy reszta są mniej więcej niebezpiecznemi chorobami złożeni; również i z 150 więźniów wojskowych, których zakonnikom do pomocy oddano, umarło 37, a wielu odbyło różne ciężkie choroby.

Że węże w Australii są smaczną potrawą, opowiada Hodglinton w swojém dziele »*Australia from port Macquarie to Moreton-Bay*« jak następuje: »Tutejsi krajowcy jedzą wszystkie większe gatunki wężów, prócz tych, które przez Europejczyków są zabite. Podobnież i *guanas*, jako téż pewien rodzaj grubych jaszczurek, są tutaj ulubioną potrawą. Jedzenie wężów nie jest u Australljczyków bynajmniéj skutkiem niedostatku żywności, lecz jedynie ztąd pochodzi, iż mięso tych wężów za bardzo smaczne uznają. Jakoż często widzieć mi się zdarzyło, iż ci nawet Australijczykowie, których ja przy pracy w moim ogrodzie lub na moich pastwiskach dostatecznie chlebem i mięsem karmiłem, każdego przypadkiem zabitego węża najstaranniéj chowali i przy najbliższém ognisku uwarzywszy, jedli. Z ciekawości skosztowałem niéraz mięsa tych uwarzonych płazów, i chociażbym tylko w razie największego głodu do pożywania tego pokarmu był znaglonym, muszę wszelako wyznać, iż ta strawa dość jest przyjemna. Osobliwie mięso czarnéj gadziny było soczyste i smaczne, i przypominało poniekąd smak pieczonego prosięcia; gdy przeciwnie mięso węża *guana* było suchsze i bielsze, i bardziéj do naszego drobiu podobne. Zresztą nie sami tylko dzicy mieszkańcy Australii jedzą gadziny, gdyż także zwyczajna angielska gadzina wodna, bywa w niektórych częściach Europy za pokarm używana; wiadomo także, iż zachodnio-indyjska gwana — która daleko jeszcze brzydszym jest płazem niż australijska — stanowi główną łakótkę osadników niektórych wysep zachodnioindyjskich.

Grzeczność małżeńska. Pan B. jestto pewien młody, majętny, wesoły człowiek i ma także młodą, przystojną żonę, lecz w ich domu — niepokój. Oboje nie dbają wzajem o siebie i mówią sobie często otwarcie, iż wielki błąd popełnili, wchodząc w związek małżeński. Ztémwszystkiém starają się ile możności, aby swoje pożycie od głośnych burz ochronić, a w towarzystwie zwykli najszczęśliwszą parę udawać. Jednego razu pojechali oboje na bal maskowy u pewnego bankiera: pan B. jako wenecki *nobile* z ośmnastego wieku, pani B. jako dama dworska z czasów Ludwika XVgo. Natychmiast otoczył piękną mężatkę rój zalotników, którzy jéj tysiączne pochlebstwa z powodu jéj kostiumu prawić zaczęli. Do nich przyłączył się przypadkiem także i jéj małżonek. Pani B. osądziła za rzecz stosowną, zmusić męża do powiedzenia jéj grzeczności w obec nadskakujących jéj wielbicieli. »Nieprawdaż, kochany mężu,« — ozwała się w tym celu — »że w tym stroju bardzo mi jest do twarzy! Co za szkoda że się codziennie tak przebiérać nie można! Zdaje mi się, iż jestem na to stworzoną, aby nosić strój z czasów Ludwika XVgo. I cóż ty na to mówisz, mój mężu?« — »Zgadzam się zupełnie z zdaniem tych panow i twojem;« odrzekł małżonek. »Prześlicznie ci jest w tym stroju, a to nawet tak ślicznie, że żałować należy, iżeś się o sto lat wcześniéj nie urodziła.«

Dla gastronomów. Wszyscy smakosze lubią o pewnéj wyznaczonéj jadać godzinie. Bez takiéj regularności traci się apetyt. A jakże ważną rzeczą jest godzina obiadowa dla kucharza! Kto jéj nie pilnuje, ten wielki błąd popełnia. Jay, jeden z najsławniejszych uczniów nieocenionego kucharza, pana Carême, nie przyjął u margrabiego Wellesley wyznaczonego mu podwyższenia płacy o 1000 reńskich, jakoteż pensyi po ukończonéj służbie, z téj jedynie przyczyny, iż pan jego kazał zawsze o godzinę wprzód na stół dawać, nim zasiadł do obiadu. Dobry kucharz umié ogień, wodę, powietrze — słowem wszystkie żywioły do daniny zniewolić. Dobry kucharz nie zabija, lecz pociesza i wznosi. Zły tylko obiad może niestrawność sprawić. Dobry, z należytém artystostwem przyrządzony obiad dodaje polotu wyobraźni, podwaja władze duszy i usposabia do pracy. Zupa jest przedmową obiadu, lecz dobre dzieło nie potrzebuje przedmowy. Potrawy narodowe są podstawą całego repertuarza europejskiéj kuchni: — w Anglii rostbif, bifsztyk, budyń, zwierzyna i pasztety; w Hollandyi sér i solone mięso; w Niemczech kwaśna kapusta; w Rossyi kawiar; w Turcyi ryż z baraniną; we Włoszech polenta i makaroni; w Hiszpanii *Olla potrida*. Zakosztowawszy tych wszystkich rozmaitych przysmaków, trzeba przecież wyznać, iż najlepszym wiktem jest *la petite fine table bourgeoise* w Paryżu. Głęboko rozmyślony a dobrze ugotowany obiad nie może z niczém iść w porównanie; jestto tętno naszego społeczeńskiego życia.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.